

Cywilizacja w krainie Zulu-Gula

Niedawno wprowadzono w życie pakiet ustaw, które rzekomo mają usprawnić system nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce. Wpisują się one w ciąg destrukcyjnych decyzji, zapoczątkowanych już w latach 1990-tych i realizowanych konsekwentnie przez wszystkie rządzące ekipy, pod hasłami „modernizacji”, „nowoczesności” itp. Za ikonę tych działań należy uznać byłego wicepremiera L. Balcerowicza, który głosił, że finansowanie nauki w Polsce nie jest potrzebne, gdyż „zaczofana Polska” może sobie dowolną technologię kupić (niby z czego?), zamiast ją wytworzyć (por. W.W. Jędrzejczak, Sprawy Nauki, styczeń 2009). Praktyczną konsekwencją takiego podejścia jest drastyczne obniżenie nakładów na naukę, od 1,5% PKB w roku 1989 do 0,35-0,6% PKB obecnie, w zależności od metody liczenia. Rozwinięte kraje przeznaczają na naukę większe pieniądze, bo ok. 2-3% PKB, przy czym ich budżet jest też większy niż w Polsce.

Ustawy wprowadzono wbrew opinii znaczącej części środowiska naukowego, w sposób czysto biurokratyczny, wykorzystując też fakt, że większość Polaków sprawami nauki się nie interesuje. Media, które głównie kształtują opinię publiczną, nie zajmują się tą tematyką, chyba że w zakresie propagowania rzekomych sukcesów władzy. Artykuły krytyczne są publikowane rzadko i to głównie w niszowych czasopismach, więc dźwięk takich dzwonów do ludzi nie dociera. Czyżbyśmy już zatracili instynkt samozachowawczy? A może jeszcze jest czas na oprzytomnienie?

Dorobek ostatniego dwudziestolecia

Ten dorobek, który ma podstawowe znaczenie dla dobrobytu i rozwoju Polski, można podsumować następująco:

- Wspomniane już drastyczne obniżenie nakładów na naukę;
- Znaczne zwiększenie liczby studentów, przy dramatycznym obniżeniu poziomu nauczania;
- Deprecjacja stopni (doktorat, habilitacja) i tytułu naukowego (profesura tytułarna);
- Zubożenie środowiska naukowego;
- Niszczenie najlepszych jednostek naukowych;
- Stworzenie złej atmosfery wokół instytucji naukowych;
- Marnowanie pieniędzy na substytuty „postępu”;
- Wprowadzenie chaosu i niepewności, itd.

Likwidacja skutków tego ponurego „dorobku” będzie ciężką pracą dla następnych pokoleń. Byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie dostrzegł pozytywów: każdy ma paszport i może sobie podróżować; za miesięczną pensję można sobie kupić jeżdżące auto; zamiast chałupniczo wytwarzać prymitywny sprzęt laboratoryjny, można nabyć najnowsze urządzenia pomiarowe, pod warunkiem, że są na to pieniądze; niektóre uczelnie stawiają nowe budynki; można dosyć tanio zakupić osobisty komputer i podstawowe oprogramowanie; mamy telefony komórkowe itd. Tyle tylko, że te ułatwienia nie mają wiele wspólnego z reformowaniem nauki.

Atrapy postępu

Atrapą jest znaczne zwiększenie liczby studentów, wbrew prawom natury, gdyż zdolności wśród ludzi nie są równomiernie rozłożone. Nie da się też administracyjnie pokonać biologii poprzez ułatwienie dostępu do stopni naukowych i tytułu profesora. Do historii zapewne przejdzie równanie $2 \times mgr = dr$, równie eleganckie, co słynne $E = mc^2$. Przecież nie każdy sierżant musi zostać generałem, ani też co drugi proboszcz biskupem. Nienormalne jest zachwianie proporcji pomiędzy „obciążeniem dydaktycznym” nauczycieli akademickich, a liczbą studentów. Taki nauczyciel, przy obciążeniu rzędu 500 godzin rocznie i setkami studentów, nie jest w stanie sobie z tym wszystkim poradzić, więc nawet trudno mówić o jakości kształcenia. A rektorzy polskich uczelni jeszcze się chwalą ogromną liczbą studentów, np. 40 tysięcy tylko na jednej uczelni, podczas gdy na czołowych uniwersytetach (np. Harvard, Yale czy Stanford) studiuje zaledwie po ok. 5 tys. osób, którym można naprawdę poświęcić uwagę. Nie można uzależniać finansowania uczelni od liczby studentów, gdyż prowadzi to do przypadkowego naboru, a tym samym do obniżenia standardów nauczania.

Uniwersytetu nie ma bez badań naukowych, a z tym w Polsce nie jest dobrze. Rozgłasza się przy tym szkodliwy pogląd, że wszyscy muszą nauczać. No więc nauczają i mamy oplakane tego rezultaty. Ci, co nie nauczają, zostali postawieni pod pręgierzem. Wspomniany już prof. W. Jędrzejczak napisał, że na 42 profesorów zatrudnionych na jednym z wydziałów amerykańskiego Uniwersytetu Emory, tylko 3 (trzech!) zajmowało się nauczaniem, a reszta badaniami naukowymi. Nie dziwi więc fakt, że czołowe polskie uczelnie, jak UW i UJ, są klasyfikowane pod koniec 4-tej czy 5-tej setki w światowych rankingach, a zdecydowana większość naszych uczelni w ogóle nie jest brana pod uwagę. Dopóki władze tego oczywistego mechanizmu nie zrozumieją, nie będzie mowy o poprawie.

Innymi atrapami są różne „parki technologiczne” czy inne „inkubatory postępu”, które pokazują, jak to biurokraci potrafią sterować rozwojem nauki. Sprzeciw też budzą niektóre „politycznie poprawne” programy Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Dobijanie elit

Zastanawiająca jest zawziętość, z jaką tępi się instytuty Polskiej Akademii Nauk. W jednym z ostatnich światowych rankingów te instytuty sklasyfikowano łącznie, pod szyldem Polskiej Akademii Nauk, na 72 miejscu w świecie, znacznie wyżej niż dwie najwybitniejsze polskie uczelnie, które umieszczono na samym końcu 4-tej setki. We wszystkich instytutach PAN zatrudnionych jest zaledwie 3600 pracowników naukowych, tyle co na jednym tylko UJ. Te niespełna 4% pracowników naukowych w Polsce wytwarza 20-30% polskiego dorobku. W ostatnim rankingu MNiSzW aż 89% instytutów otrzymało najwyższą 1-szą kategorię, a 11% drugą (łącznie 5 kategorii). Instytuty PAN są więc faktyczną elitą nauki w Polsce, obok nielicznych wybitnych wydziałów uniwersyteckich.

Jedynym logicznym wyjaśnieniem faktu systematycznego degradowania tej elity jest konsekwentnie realizowany program polityczny, którego hasłem jest „Polska ma być odtwórcza a nie twórcza”. Mamy zostać krainą ludzi Zulu-Gula, no bo jak inaczej rozumieć cytowane wcześniej słowa b. wicepremiera L. Balcerowicza? Znane są też nazwiska innych osób odpowiedzialnych za ten stan rzeczy, czyli zabijanie kury, która znosi złote jajka.

Podstawowym i skutecznym instrumentem przyjętej przez rząd polityki jest ciągle ograniczanie finansowania, począwszy od wspomnianych już beznadziejnie niskich nakładów, poprzez niesprawiedliwą i nieracjonalną dystrybucję tych małych pieniędzy, aż po konstruowanie odpowiednich ustaw. Budżet polskiej nauki to z grubsza 3 mld USD rocznie, tyle co wynosi budżet tylko jednego uniwersytetu z czołówki światowej (łącznie na naukę i kształcenie).

Nie da się prowadzić badań naukowych na wariackich papierach, potrzebna jest minimalna stabilizacja, a to m.in. oznacza godziwe uposażenie. W moim instytucie, podstawowa pensja profesora zwyczajnego („belwederskiego”, czyli z tytułem naukowym) wynosi 4 tys. zł. miesięcznie brutto i nie zmieniła się od 15 lat. Polski uczeń szkoły zawodowej w Niemczech otrzymuje w 3-ciej klasie znacznie więcej, a przecież jeszcze nie jest nawet wykwalifikowanym robotnikiem. Czy to nie jest upodlające dla polskich naukowców? Oni, aby przeżyć, muszą chwycić się dodatkowych zajęć, więc niewiele czasu i sił pozostaje na efektywne badania. Nie tak dawno jeszcze stosowana była praktyka wieloletowości, co wprowadziło demoralizację. Nowe ustawy nie zlikwidowały tej patologii, gdyż dopuszczono dwuletność. Czy jeszcze gdzieś, poza Polską, można pobierać dwie pensje z budżetu państwa?

Często stosuje się głupie argumenty o „krótkiej kołdrze”, „szarpaniu płótna” itp. Gdzie indziej ta kołdra nie jest wcale krótka, np. w administracji. W samym tylko roku 2009 zatrudnienie tam wzrosło aż o 7%, co oznacza dodatkowe wydatki po 3 mld zł. rocznie. Niedawno przeczytałem, że wielu urzędników w warszawskim magistracie zarabia rocznie po blisko pół miliona złotych. Protestuję przeciwko takim praktykom jako obywatel Rzeczypospolitej.

Prof. Andrzej Sawicki

Gdańsk-Oliwa, 3 maja 2011